

PRZEDSTAWIENIA **TEATR**

665  
**ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE... W NOWEJ HUCIE**

W przedstawieniu *Poskromienia złościcy* w reżyserii Jerzego Stuhra najważniejszym meblem jest łóżko. Stoi niemal od początku spektaklu. Jest duże, wyraźnie małżeńskie. Od łóżka wszystko się zaczyna i w nim znajduje swój finał. Może z wyjątkiem pierwszej części prologu granej w foyer teatru. I nic w tym dziwnego. Rzecz jest przecież o miłości skrywanej za różnymi maskami. Łóżko niepostrzeżenie organizuje całe przedstawienie. Zaczniemy jednak od początku. Tuż przy wejściu, na zbudowanym z desek podestacie stoi pijany Okpisz (Piotr Urbaniak). Nieco dalej trzymająca dzban Karczmarza (Małgorzata Kochan). Dzieli ich zaledwie kilka metrów. Kubek Okpisza jest pusty. Dziewczyna nie okazuje odrobiny zainteresowania, jej twarz pozostaje doskonale beznamiętna. Okpisz ze wzrokiem wbitym w dzban chwiejnym krokiem przemierza dzielącą ich odległość. Następnie powoli, i tak kilkakrotnie, aż padnie całkowicie zamroczoney. Studzy dziedzica zaniosła go do łóżka. Publiczność przy dźwiękach muzyki przechodzi na scenę. Tym razem z Okpiszem oglądać będzie przedstawienie, w którym ona zagra Katarzynę, a on Petrucia.

Spektakl Stuhra jest wspaniałą teatralną zabawą. Od razu trzeba dodać – zabawą z aktorami, z widzami, ale przede wszystkim zabawą z tekstem. Przekład Baranczaka jest znakomity, brzmi współcześnie, jest grą z językiem. Udowodnia, że Szekspir może i powinien śmieszyć. W przeciwnym razie nie ma sensu wystawiać jego komedii. Po cóż bowiem grać rzeczy, w których śmiech pojawia się sporadycznie i jakby trochę na siłę. Antoni Słonimski pisał przy okazji *Poskromienia złościcy*, w 1935 roku, że humor Szekspira dawno się zestarzał i dziś nikogo już nie śmieszy. Jego zdaniem „w komediach Szekspira nazy nas obcowanie z zartami, które przestały być nimi już od lat dwustu. Jak z twarzy osób, które niegdyś były młode, odczytać można resztki wdzięku i tu domyślać się zaledwie możemy, że jakiś dialog albo powiedzenie miało się komicznie”.

Mistrz dowcipu tym razem się pomylił. Mówiąc dokładniej, stwierdził fakt, ale nie ustalił miejsca choroby. Całe zło tkwiło w przekładzie, anachronicznym, a przy tym dalekim od Szekspira. Skutecznie zacieraającym linijstyczne gry, kałambury, przejęzyczenia, pozostawiającym martwe, niezrozumiałe sytuacje. Aby wydobyć komizm Szekspira, potrzebny był nowy przekład i taki wreszcie się pojawił. Sukces przedstawienia Stuhra nie jest jednak wyłącznie sukcesem Baranczaka. Grano już Szekspira w nowym przekładzie. Na ogół podziwiano mistrzowską robotę tłumacza, spektakle pozostawały dalekie od idealu. Na pierwszym planie zawsze był Baranczak, może z wyjątkiem kilku kreacji aktorskich. W przedstawieniu Stuhra jest inaczej. To spektakl bardzo wyrównany, grany właściwie bez gwiazd, a jednak od początku do końca niezwykle śmieszny. W pewnym sensie to także przedstawienie o teatrze, widowisko, w którym każdy udaje każdego, wszyscy grają zamieniając się rolami. Dzieje się na scenie, a więc w miejscu szczególnie wyróżnionym.

Dobra jest para głównych bohaterów. Oboje doskonale radzą sobie z tekstem, z dużą pewnością rozgrywają poszczególne sceny. Kochan gra dziewczynę pełną temperamentu, zawziętą, której przeraźliwy, odpowiednio wzmocniony krzyk przerywa na moment przedstawienie. Nie uśmiecha się, jest oschła, a mimo to jej Katarzyna budzi sympatię i śmieszy. Z kamienną twarzą odiera ataki Petrucia. Jest wspaniała, gdy w złości męczy swoją siostrę. Przywiązuje ją do liny, unosi i bezlitośnie kotłuje. Kochan gra złościcę, która nawet poskromiona ani na chwilę nie łagodnieje. Głodzona, posłusznie wykonuje polecenia męża, ciągle jednak pozostaje kobietą z charakterem. Złość na moment ujarzmiona tkwi w niej nadal. Petrucio Urbaniaka jest pewny siebie, dowcipny. W scenach z Katarzyną najczęściej stanowiący, czasami tylko ironicznie uległy. Oboje skupiają na sobie uwagę widzów, wyraźnie podzielonych w swych sympatiach. Pozostali aktorzy w niczym nie ustępują parze protagonistów. To oni utrzymują kontakt z publicznością. Decydują o charakterze całego przedstawienia, nadają mu rytm. Baptista Minola (Andrzej Franczyk) jedzi na wózku, wykonując niemal cyrkowe akrobacje. Blanka Aldona Jankowskiej to osoba całkowicie zdominowana przez siostrę, z założenia nieco bezbarwna. Dobrzy, a przede wszystkim śmieszni są zalotnicy Grenio (Władysław Bułka), Hortensjo (Krzysztof Górecki) i Lucencjo (Krzysztof Gadacz), Tranio (Piotr Piltowski) z dużym



Aldona Jankowska (Blanka), Andrzej Franczyk (Minola), Małgorzata Kochan (Katarzyna)

wdziękiem udaje swego pana, Biondello (Tomasz Schimscheiner) zręcznie, choć trochę zbyt natrętnie ogrywa swą erotyczną dwuznaczność. Wszyscy biorą udział w grze precyzyjnie zorganizowanej, prowadzonej w zmiennym rytmie. W pewnej chwili rozsuwa się kurtyna odsłaniając rzędy krzesel pustej widowni. To dom Petrucia, miejsce poskromienia złościcy.

Scenografia Elżbiety Krywskiej jest funkcjonalna, budowana bez troski o iluzję. Kiuka mebli, para drzwi, łóżko. Prócz tego praktykabel w kształcie wieży. Nie trzeba nic więcej. Uczestniczymy przecież w zabawie, w której miejsca, a nawet postaci są tak naprawdę umowne. I jeszcze jedna scena, której urok oparty jest głównie na scenograficznym pomysle. Podróż Katarzyny i Petrucia na wielkich końskich kukłach zawieszonych nad sceną. Grumio (Roman Gancarczyk) pociągając za wodze wprawia całość w ruch. To jedna z najładniejszych scen w przedstawieniu Stuhra.

Jego *Poskromienie złościcy* po prostu bawi publiczność. I myślę, że taki był cel spektaklu. Najważniejszy, choć nie jedyny. W liście do Baranczaka, przedrukowanym w programie, Stuhr napisał: „Chcę, aby bohaterowie tego przedstawienia byli ludźmi dobrymi, którzy tę dobroć odkrywają w sobie, odkrywają, ze szacunek, wzajemne doznanie uczucia, którym obdarowuje nas druga osoba, są wielką radością. Myślę, że pokazanie takich bohaterów młodym ludziom siedzącym na widowni, którzy przecież o takich marzą, ale spotykają rzadko, może być pokrzepiające i pożyteczne. Tak mi się marzy!” Rzeczywiście widownie wypełniają głównie ludzie młodzi. Nie wiem, czy odnajdują w przedstawieniu to, o czym pisze Stuhr – szacunek, potęgę miłości. Na pewno się bawią i to wystarczy. Prawdziwy śmiech w dzisiejszym teatrze zdarza się rzadko. Kazimierz Wierzyński, w przeciwieństwie do malkontentkich uwag Słonimskiego, pisał o *Poskromieniu złościcy*: „Czas wydmuchał z tego zartu wszelką problematykę, z treści wykruszyła się ostryść teź... Z sędziwej anegdoly nic jednak nie wytraciło śmiechu i jego czarodziejstwa... Śmiech ten nie zna pardonu, panuje nad charakterami i zdarzeniami, nad moralnością i miłością. Ma impet, natarczywość i śmiałość szarzy.” Taki jest spektakl Stuhra, dowcipny i bezpretensjonalny. Dowodzi, że w teatrze w Nowej Hucie coś się zmieniło. Zdecydowanie na lepsze.

MAREK ZAGANCZYK

Teatr Ludowy w Krakowie. *POSKROMIENIE ZŁOŚNICZY* Williama Szekspira, Przekład Stanisław Baranczak. Reżyseria Jerzy Stuhr, scenografia Elżbieta Krywska. Premiera VI 1991